

 Harlequin<sup>®</sup> *Romans*<sup>®</sup>

CARA COLTER  
*Azyl w górach*



Cara Colter  
*Azyl w górach*

*Tłumaczyła  
Julita Mirska*

Tytuł oryginału: His Mistletoe Bride

Pierwsze wydanie: Harlequin Romance, 2008

Redaktor serii: Ewa Godycka

Opracowanie redakcyjne: Ewa Godycka

Korekta: Urszula Gołębiewska

© 2008 by Cara Colter

© for the Polish edition by Arlekin – Wydawnictwo Harlequin Enterprises sp. z o.o., Warszawa 2011

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieła w jakiegokolwiek formie.

Wydanie niniejsze zostało opublikowane w porozumieniu z Harlequin Enterprises II B.V.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne.  
Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych lub umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

Znak firmowy Wydawnictwa Harlequin i znak serii Harlequin Romans są zastrzeżone.

Arlekin – Wydawnictwo Harlequin Enterprises sp. z o.o.  
00-975 Warszawa, ul. Starościńska 1B lokal 24-25

Skład i łamanie: Studiu Q, Warszawa

ISBN 978-83-238-8413-2

ROMANS – 1072

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Tego dnia funkcjonariusz Brody Taggert miał paskudny humor.

– No dobra, możemy złożyć wizytę pannie Lili Granger – mruknął.

Jego suka Buba, zdrobniale Bu, która leżała wyciągnięta na tylnym siedzeniu radiowozu, zaszczekała na znak zgody.

Zważywszy na jego nastrój, pewnie nie jest to najlepszy moment na składanie wizyt komukolwiek, a zwłaszcza nowej mieszkance Snow Mountain, początkującej pisarce, właścicielce sklepu i siostrzenicy szefa w jednej osobie. Właśnie z powodu jej pokrewieństwa z Paulem Hutchinsonem, zwanym przez wszystkich Hutchem, Tag nie mógł odmówić. Prawdę rzekłszy, otrzymał rozkaz, aby się do niej udać.

Hutch był z natury łagodnym człowiekiem, lecz zdenerwował się, usłyszawszy, że Tag przegapił wczorajsze zebranie grupy Ratujmy Święta w Snow Mountain.

– Ta mała coś knuje – powiedział. – To cwana bestia, zupełnie jak jej matka, a moja siostra. A ty, psiakrew, opuściłeś zebranie, więc poruszamy się po omacku.

Po omacku to trafne określenie, pomyślał Tag. Albo-

wiem rada miejska postanowiła zgasić w miasteczku światła. Nie, nie latarnie, tylko oświetlenie świąteczne. A to oznacza, że nie będzie tradycyjnej świątecznej ekspozycji w parku Bandstand przy końcu Main.

Każdego grudnia od 1957 roku park zamieniał się w Pracownię Świętego Mikołaja. Mechaniczne skrzaty pakowały prezenty, między drzewami baraszkowały renifery, brzuchaty Mikołaj machał do ludzi, wołając „Ho, ho, ho!” Niestety zarówno skrzaty, jak i renifery miały już ponad pięćdziesiąt lat; wyczerpała się ich żywotność.

Mikołajowe ho-ho-ho pobrzmiwało w zwolnionym tempie, a w zeszłym roku jeden z elfów stanął w ogniu. Ktoś nagrał telefonem komórkowym przerażone dziecko płaczące na tle płomieni. I tak cały kraj usłyszał o miasteczku Snow Mountain w stanie Waszyngton.

Od stycznia trwały zażarte dyskusje na temat przyszłorocznej ekspozycji. Na październikowym zebraniu w ratuszu radny Leonard Lemoix, który bynajmniej nie należał do faworytów Taga, przedstawił szczegółową kalkulację. Otóż za pieniądze przeznaczone na naprawę figurek oraz trzykrotne ustawienie i rozmontowanie ekspozycji – pomijając rachunek za elektryczność – miasto mogłoby kupić nowy radiowóz.

Radni jednogłośnie podjęli decyzję: koniec ze świąteczną ekspozycją.

– Oczywiście siostrzenica uważa, że to wszystko moja wina – oznajmił nazajutrz po zebraniu Hutch – a ja nie miałem pojęcia o żadnym radiowozie. W każdym razie postanowiła powołać Komitet Ocalenia Świąt. Wiesz, co mi powiedziała? „Chcesz, wujku, żeby Snow Mountain

przeszło do historii jako miasteczko, w którym skasowano święta?”

Właśnie wtedy Tag dowiedział się o swoim udziale w Komitecie.

– Nie możemy pozwolić, aby ludzie mieli nas za bezdusznych drani, którym zależy wyłącznie na nowym radiowozie – dokończył Hutch, którego troska o dobry wizerunek policji dziwnym trafem zbiegła się z przybyciem do miasteczka siostrzenicy.

Panna Lila mieszkała dotąd w Miami i była bardzo wyczulona na punkcie poprawności politycznej.

Tag, który żywił coraz większą niechęć do nieznanego sobie siostrzenicy szefa, nie zaprotestował, nie spytał: Dlaczego ja? Wiedział dlaczego: choć pracował w policji sześć lat, miał najkrótszy staż. Wprawdzie starsi koledzy już dawno przestali go traktować jak żółtodzioba, ale wciąż dostawał zadania, do których nikt inny się nie rwał.

Do takich należał udział w Komitecie Ocalenia Świąt. A on, psiakrew, opuścił pierwsze zebranie. Nie tłumaczył się szefowi, dlaczego nie poszedł; wolał słuchać wściekłej tyrady Hutch'a, niż widzieć jego współczującą minę. Na współczujące twarze napatrzył się po śmierci swojego młodszego brata Ethana. I dość. Basta.

Wiedział jednak, że nie wykręci się od rozmowy z panną Grainger, chyba żeby zdarzył się napad na bank, a na to się nie zanosilo. Zaklął pod nosem. Psisko zaskomlało, wyczuwając ponury nastrój swego pana.

– To nie twoja wina, Bu.

Chryste, dopiero minęło Halloween! Do Bożego Narodzenia zostało jeszcze z siedem tygodni! Owszem,

ucieszył się, kiedy radni zagłosowali przeciwko świątecznej ekspozycji w parku. I nie, wcale nie dlatego, że za zaoszczędzone pieniądze miasto mogłoby kupić nowy radiowóz.

Po prostu jako stróż prawa Brody Taggert widział również ciemną stronę świąt, o jakiej nie pisano w kolorowych pismach. Dla większości ludzi, z którymi się stykał, okres między Świętem Dziękczynienia a Bożym Narodzeniem był czasem wzmożonego picia, alkohol zaś prowadził do kłótni, bójek, przemocy domowej, wypadków samochodowych, hipotermii, rozpadu biznesu, małżeństwa, relacji z ludźmi.

Zdaniem Taga w czasie świąt biedni stawali się jeszcze biedniejsi, podli podlejsi, samotni bardziej samotni, a nieszczęśliwych ogarniała rozpacz.

Natomiast ci, którzy tak jak on doświadczyli straty, w okresie świąt przeżywali tę stratę od nowa. W tym roku Tag miał spędzić siódme święta bez brata. Ludzie zapewniali go, że czas leczy rany, ale jakoś nie mógł w to uwierzyć; każdego roku bolało równie mocno. Czuł w sercu pustkę, która na skutek ogólnego ożywienia wokół zdawała się pęcznić z godziny na godzinę.

No ale Lila Grainger o tym nie wiedziała. Żyła w innym świecie, w świecie radosnym, pozbawionym trosk. Uzmysłowił to sobie, kiedy trzy dni temu otrzymał od niej mejla zatytułowanego „Ocalmy święta w Snow Mountain” – na różowej papeterii tańczyły Mikołaje, niżej widniało zaproszenie na zebranie wraz z zachętą: będzie poczęstunek w postaci kieliszka pysznego ajerkoniaku i słynnych ciasteczek Jeanie Harper.

Najbardziej zirytowały Taga te tańczące Mikołaje. Ale naprawdę zamierzał się wybrać, nie tylko dlatego, że szef mu kazał. Przynętą były wysmienite ciasteczka Jeanie, którym nigdy nie potrafił się oprzeć, zwłaszcza wtedy, gdy polewała je czekoladą, a zimą zwykle tak robiła.

Nie wybrał się z bardzo prozaicznej przyczyny: otóż wczoraj po południu musiał zawieźć Bubę do kliniki weterynaryjnej w Spokane. Zebranie zaczynało się o siódmej. Gdyby chciał, zdążyłby na nie. Ale po usłyszeniu słów: „Będziesz wiedział, kiedy czas nadejdzie”, nie mógł zostawić psa samego w domu.

Był człowiekiem, który niejedno w życiu widział i który doskonale potrafił kontrolować emocje. Podejrzewał jednak, że wczoraj by mu się to nie udało, dlatego wołał nie ruszać się z domu. Nawet ciasteczka Jeanie go nie skusiły. Spędził wieczór na kanapie, z Bu na kolanach, oglądając mecz hokejowy i starając się uspokoić po diagnozie, jaką weterynarz mu przekazał.

Buba umierała, a Buba była nie tylko psem, także łącznikiem z przeszłością, z Ethanem, z życiem. To ona, nie czas, pomogła Tagowi stanąć z powrotem na nogi.

Jednej rzeczy Tag nie przewidział: że szef tak szybko zareaguje na jego nieobecność na zebraniu. Hutch wezwał go z samego rana i kazał włączyć się w akcję ocalania świąt.

Tag był pewien, że gdyby przestudiował umowę o pracę, nie znalazłby słowa o tym, iż do jego obowiązków należy uczestnictwo w jakichś akcjach podejmowanych przez członków rodziny szefa, nawet jeśli te akcje mogą, jak twierdził Hutch, polepszyć wizerunek policji.



Dotychczas policjanci dbali o swój wizerunek w nieco inny sposób: uśmiechali się do małych dzieci, nosili wyprasowany mundur i wypastowane buty, jeździli czystym radiowozem. Tagowi to odpowiadało.

Podjeżdżał, że w umowie o pracę nie znalazłby też słowa o tym, że za odmowę wykonania polecenia ma sprzątać cele. Hm, z drugiej strony to właśnie Hutch po śmierci Ethana wyciągnął do niego pomocną dłoń i zaproponował mu pracę w policji, kiedy on, pogrążony w czarnej rozpaczy, powoli staczał się na dno.

Hutch wiedział też, choć nigdy się z tym nie zdradził, jak wiele Tag zawdzięcza Bubie. Dlatego nie protestował, że pies jeździ w radiowozie.

Tag skręcił w Main. Zmierzchało. Wiał zimny listopadowy wiatr, podrywając z ziemi suche liście i gazety. Ulica, która pamiętała lepsze czasy, z każdym rokiem wyglądała coraz bardziej żałośnie. Na dawnym sklepie Tilleya co najmniej od dziesięciu lat widniał nabazgrany na szybie napis: „Zwijamy interes”. W szyldzie drogerii paliło się tylko kilka liter. Latem turyści wchodzili zaciekawieni, co też tu sprzedają. Zimą turystów nie było. Ale panna Grainger miała nadzieję to zmienić.

Jej zdaniem, wyrażonym w różowym mejlu, nowa wyremontowana Pracownia Świętego Mikołaja ściągnie do Snow Mountain tabuny gości. Miasteczko stanie się swobodną mekką.

Patrząc na ponury obraz Main, na nieczynne sklepy i wypalone neony, nie bardzo w to wierzył. Snow Mountain daleko było do pełnych uroku małych miasteczek na amerykańskiej prowincji.

Tag zadumał się; właściwie brakowało mu jaskrawych światełek i kiczowatych figurek w parku na końcu ulicy.

Sklepik Lili Grainger lśnił niczym brylant. Liczący ponad sto lat budynek, który został niedawno poddany piaskowaniu, znów miał ściany w kolorze kości słoniowej. Nad drzwiami wisiał gustowny czerwono-zielono-biały szyld z napisem „Pod Jemiołą”, a niżej, wykonane mniejszymi literami, słowa: „Świąteczny butik”.

Święta. Jemioła. Podobno Lila Grainger zainwestowała w sklep zaliczkę za książkę. Nic dziwnego, że zależało jej na ocaleniu Pracowni Świętego Mikołaja.

Kiedy podpisała umowę na książkę o tematyce świątecznej, dumny Hutch gotów był wykupić ogłoszenie w gazecie, żeby się pochwalić siostrzenicą. Potem, nieoczekiwanie, Lila podjęła decyzję o przeprowadzce z Florydy do Waszyngtonu i zainwestowała pieniądze w stary, zniszczony budynek na Main.

W oknie wystawowym Tag ujrzał widok, jakiego mógł się spodziewać po osobie piszącej różowe mejle z tańczącymi Mikołajami. Stało tam świątecznie przystrojone miniaturowe miasteczko, przez które przejeżdżała, pogwizdując, miniaturowa ciuchcia.

W oknie po drugiej stronie drzwi stała dwumetrowa choinka udekorowana na fioletowo.

– Zaraz mi głowa pęknie z bólu – powiedział Tag do psa, sięgając po kapelusz.

Buba zaskomlała.

– Masz zostać w samochodzie.

Psina, zawsze posłuszna, tym razem zignorowała słowa swojego pana, przeskoczyła na przednie siedzenie i gdy tyl-

ko Tag otworzył drzwi, przecisnęła się na zewnątrz. Usiadła na chodniku i energicznie merdając ogonem, patrzyła wyczekująco.

Chryste, nigdy wcześniej nie pomyślał, że zwierzęta też chorują na nowotwory. Bu była najbrzydszym psem świata. Sierść miała koloru błota, łeb doga, tułów shar peja, nogi jamnika. Czy wielki ciężki łeb osadzony na pomarszczonym tułowiu zakończonym krzywymi, krótkimi nóżkami mógł się komuś podobać?

Owszem. Tagowi.

Tag westchnął ciężko. Po wizycie u weterynarza zdał sobie sprawę, że w tym roku święta Bożego Narodzenia będą jeszcze bardziej posępne. Trudno. Nie znał leku na poprawę humoru.

Przez moment zrobiło mu się żal Lili Grainger. Może jednak zawrócić? W tak paskudnym nastroju nie powinien się z domu ruszać. Za późno. Zastanawiał się, czy wepchnąć psa z powrotem do radiowozu. Uznał, że nie. Bu odznaczała się niesamowitą intuicją; bezbłędnie odróżniała dobrych ludzi od złych. Jego czasem jakiś przebiegły drań potrafił oszukać. Zresztą nie tylko drań; również dziewczę o niewinnej twarzy, siwowłosa staruszka w rogowych okularach, speszony młodzieniec. Ale nie Bube; ona każdego umiała przejrzeć na wylot. Niechęć lub podejrzliwość wyrażała zjeżeniem sierści. Sympatię – najgłupszym uśmiechem na świecie. Tag nigdy nie podważał jej oceny.

W porządku, pomyślał. Zobaczmy, jak suka zareaguje na siostrzenicę szefa. Nie żeby miał jakiegokolwiek podejrzenia w stosunku do panny Grainger; przecież wcale jej nie znał, nie miał pojęcia, jak wygląda. Nie wiedział też, dla-

czego tak nagle postanowiła wynieść się z Miami. Szef był potwornym gadułą – kiedy Lila podpisała umowę z wydawnictwem, wszystkim o tym opowiadał – ale aż do przyjazdu siostrzenicy nikomu słowem nie wspomniał o jej planach zamieszkania w Snow Mountain.

Na drzwiach wisiała tabliczka zakazująca wstępu psom. Ignorując ją – wszyscy w Snow Mountain wiedzieli, że Bu ma więcej ludzkich cech niż psich – nacisnął klamkę i wszedł do środka. Powitał go dzwonek, taki jak przy saniach, a w nozdrza uderzył zapach mięty, cynamonu, placcka z dyni, korzennych przypraw, sosny.

Świąteczne aromaty. Przywodziły na myśl beztroskie dni, za którymi tęsknił. Oczami wyobraźni ujrzał Ethana, mniej więcej sześciolatniego, który wyciąga spod choinki kolorowe pudło, zrywa opakowanie i piszczy z radości na widok kolejki, niemal identycznej jak ta w oknie wystawowym.

Po chwili otrząsnął się. Bing Crosby śpiewał kolędę, wszędzie wokół zaś leżały bombki i inne kruche przedmioty kojarzące się ze świętami. Ruchem dłoni Tag nakazał psu, żeby się nie ruszał.

W głębi pomieszczenia siedziała tyłem do drzwi drobna postać, która pisała coś na komputerze. Najwyraźniej nie słyszała nadejścia gościa. Albo była tak skupiona na pracy, albo Bing Crosby zagłuszył swoim śpiewem dzwonek u drzwi. Tag zmarszczył czoło. Spodziewał się ujrzeć kobietę nieco starszą, ubraną w kwiecistą sukienkę. Osoba przy komputerze miała na sobie dzinsy biodrówki odsłaniające spory kawałek pleców. Kosmyki włosów w kolorze miodu opadały jej na szyję.

W pierwszej chwili Tag uznał, że to nie może być siostrzenica szefa. W Snow Mountain mieszka wielu członków bliższej i dalszej rodziny Hutcha, ale wszyscy są po czterdziestce. A to dziewczę wygląda na góra osiemnaście lat.

Nagle zerwał się wiatr. Chociaż Tag wciąż trzymał rękę na klamce, drzwi zatrzasnęły się z takim hukiem, że Bu aż podskoczyła. Akurat w tym momencie Lila Grainger sięgała po kawę. Huk sprawił, że kubek wysunął jej się z dłoni i rozbił na odnowionej drewnianej podłodze.

Ona sama poderwała się na nogi i odwróciła przodem do drzwi. Jedną rękę przycisnęła do serca, drugą chwyciła podłużny lizak w czerwono-białe paski, który stał w pudle przy ladzie. Dzierżyła go niczym miecz. Na myśl o tym, że lizak miałby jej służyć do obrony, Tag o mało nie wybuchnął śmiechem. Ale oczami wyobraźni wciąż widział Ethana podnieconego świątecznymi podarunkami, poza tym cały czas myślał o chorej Bu, i jakoś śmiech zamarł mu w gardle.

Spoglądając na właścicielkę sklepu „Pod Jemiołą”, uświadomił sobie, że jednak nie ma ona osiemnastu lat, lecz siedem lub osiem więcej. Zobaczył też autentyczny strach w jej oczach. Ona zaś, widząc, że Tag ma na sobie mundur, lekko rozluźniła uchwyt na lizaku, ale nie odłożyła go na bok. Ubrana była w obcisłe džinsy i opięty czerwony sweter włożony na białą koszulę. Dół koszuli oraz kołnierzyk wystawały spod swetra.

– Przepraszam – powiedziała. – Nie słyszałam, jak pan wchodzi.

Zerknął na Bubę, która zrobiła coś, czego nigdy dotąd nie robiła: wyciągnąwszy się na podłodze, wydała niski, gardłowy dźwięk, takie przeciągłe mruczenie. Brzmiało to tak, jakby nuciła jakąś dziwną kołysankę. Tag wytrzeszczył oczy; miał nadzieję, że nie jest to kolejny etap choroby, o której weterynarz go wczoraj poinformował.

Po chwili przeniósł wzrok na kobietę.

Była młoda i piękna, jak aniołki, które umieszcza się na czubku choinki. Skórę miała lekko muśniętą florydzkim słońcem, gładką niczym porcelana, rysy regularne, bardzo delikatne, oczy wielkie i niebieskie, utkwione w jego twarzy. Widział żyłkę pulsującą na jej szyi.

– Panna Grainger, prawda? – spytał łagodnie, jakby bał się wzbudzić w niej jeszcze większy strach.

– Lila – powiedziała.

Swoją szczupłą sylwetką Lila Grainger różniła się od reszty rodziny Hutcha, której członkowie odznaczyli się raczej krępą budową. Taga ogarnęły wyrzuty sumienia. Psiałość, nie powinien wlepić w nią oczu, ale dziewczyna naprawdę działa na zmysły.

Udawiała, że już się nie boi, ale była kiepską aktorką. Dlatego przybrał dobroduszny wyraz twarzy; nie będzie na tej niewinnej istocie wyładowywać złości.

Jako policjant wiele widział i rzadko się dziwił. Potrafił rozpoznać lęk w czyichś oczach. A w oczach Lili wyraźnie go widział. Czyżby policyjny mundur wzbudzał jej strach? Niektórzy tak reagują na widok policji.

Stał bez ruchu, wolał się nie zbliżać, Buba jednak, pocierając brzuchem o podłogę i wciąż mrużąc radośnie, zaczęła się przesuwać w stronę dziewczyny. Tag pstryknął

palcami. Pies popatrzył na niego błagalnie, po czym przewrócił się na grzbiet.

Po raz pierwszy Lila oderwała od niego spojrzenie. Po-dejrzewała, że gdyby wykonał krok, to nie zważając na jego mundur, rzuciłaby się do ucieczki. Kiedy jednak utkwiała oczy w Bu, nie zdołała powstrzymać uśmiechu.

– Jaka śliczna psinka.

Może dlatego tak nerwowo zareagowała, kiedy wiatr trzasnął drzwiami? Może była krótkowidzem albo miała inne problemy ze wzrokiem? Przecież Bu była najbrzydszym psem pod słońcem!

Leżąc na plecach, Buba pomachała przednią łapą. Lila Grainger wybuchnęła śmiechem, udowadniając, że problemów ze wzrokiem nie ma żadnych. Za to roześmiana miała dziesięć razy więcej seksapilu niż przed chwilą, gdy stała wystraszona.

– Nie było mnie na wczorajszym zebraniu – powiedział Tag, wyjaśniając powód swojej wizyty. Skrzyżował ręce na piersi, udając, że seksowny wygląd Lili nie robi na nim najmniejszego wrażenia.

– Na... na jakim zebraniu? – wydukała.

– Komitetu Ocalenia Świąt. Szef mnie wytypował – dodał, żeby nie było wątpliwości.

– Ach, na tym zebraniu! – Odgarnęła za ucho kosmyk włosów. – Nie szkodzi. Przyszło mnóstwo ludzi, a pan sprawia wrażenie zajętego człowieka, który nie ma czasu na takie głupstwa. Ale miło, że dziś pan tu zajrzał. Przy kasie leży stos ciasteczek, które zostały z wczoraj. Niech się pan poczęstuje. – Zerknęła nerwowo za siebie.

Próbuje się go pozbyć. Tag powędrował wzrokiem za